

## MARZENIE

Miał dwanaście lat, oczy czarne jak okruchy kamiennego węgla, dwoje słabych rąk i zmęczonych nóg. Nosił spłowiałą koszulę, wytarte spodnie i parę włożonych na bosc stopy butów. Dla zwykłych przechodniów był ulicznym włóczęgą, osieroconym oberwańcem bez domu i bliskich przyjaciół. Nawet ci, których serca jeszcze nie zobojętniały, którzy ukradkiem wciskali mu do ręki kilka drobnych monet — nie przypuszczali, że próbują wspomóc jałmużną kogoś, kto nosi w sobie skarb największy z możliwych, którego pozbawionych było wielu z nich.

Błąkał się ulicami Miasta, śmiesznie nieporadny i zagubiony w jego ogromie. Czasami znajdował odbicie własnej twarzy między grupkami obdartych rówieśników, kiedy indziej zaglądał przez uchyloną furtkę czasu w przyszłość — spotykając w ciemnych bramach ludzi starych, o twarzach naznaczonych stygmatem dni przeżytych pośród kamiennych ścian.

Miał dwanaście lat, oczy nie przygaszone jeszcze zarzewiem neonowych świateł i stopy pamiętające bruk tysiąca ulic. Budził się zawsze wczesnym rankiem, kiedy w ślepych zaułkach zalegał poranny chłód i, nie otrzepując spodni z pyłu chodników, ruszał w swoją wędrówkę. W ciągu długich lat krótkiego życia przemierzył wiele ulic. Zachował w pamięci sycący aromat powietrza w dzielnicach domów otoczonych parkami i smak nędzy znajdującej przytułek między ścianami drewnianych ruder, skąd nie wyganiał go miarowy krok policjantów. Poznał też rytm wielopoziomowych autostrad, którymi strumienie maszyn wlewały się we wnętrza szklanych gmachów. Był dzieckiem Miasta, lecz choć zagubiony w jego mrówczej krzątaninie, nigdy nie stał się częścią jego betonowych wnętrz. Pośród miliardów ludzi wplecionych w tryby czasu — misternym mechanizmem cywilizacji rozdzielonego na pracę, posiłki i sen — pozostał zgrzytem niezauważalnym prawie, a jednak wyłamującym się logice powszechnych praw i obowiązków, jakie obwarowały niezmienną postępowania szarych mieszkańców Miasta-termitiery. Musiał więc zostać taki jak inni... albo odejść, gdyż arteriami kamiennego bruku, czarnego asfaltu i betonowych chodników nie wolno bezkarnie przenosić marzeń o drogach innych, wybiegających daleko poza granice miejsc dostępnych dla zwykłego człowieka.

### *Poniedziałek*

Biały sufit i ściany, śnieżna pościel na łóżkach i ubrania lekarzy.

Biały sufit i ściany, śnieżna pościel na łóżkach i ubrania lekarzy...

Biały sufit i ściany... Tik-tak, tik-tak, czas upływa — przemija czas.

Wzdłuż szeregu emaliowanych łóżek przesuwa się korowód ludzi w bieli. Pochylają się nad każdym z chorych, coś szepczą między . sobą. Lekarz oddziałowy podaje ordynatorowi kartę choroby, rzuca krótkie wyjaśnienia. Berker kiwa głową, czasami powie kilka słów pocieszenia albo położy swoją miękką dłoń na czole leżącego w śnieżnej pościeli.

— O, widzę nową twarz...

Doktor Berker uśmiecha się przystając przed kolejnym łóżkiem. Czeka na znak, że jego ojcowska dobroduszość została zauważona, lecz patrzące na niego oczy są nadal poważne i nieobecne.

— Jak ci na imię, chłopcze?

Leżący patrzy tak dziwnie, aż lekarz doznaje wrażenia, jakby tylko przypadkiem znalazł się na linii spojrzenia oczu ogromnych, czarnych niby dwie krople bezksiężycowej nocy. Pohamowuje

chęć natychmiastowego odejścia, uchylenia się przed tym niepokojącym wzrokiem.

— Nie chcesz porozmawiać ze mną? Szkoda. Ale wyglądasz mizernie, więc, jak sądzę, starczy nam czasu, aby się bliżej zaznajomić.

Berker zwraca się do lekarza oddziałowego.

— Kto to jest? — pyta ściszym głosem.

— Nie wiem.

Doktor Berker marszczy brwi.

— Przywieziono go z samego rana i dotąd nie odezwał się jeszcze.

— Czyje to dziecko?

— Nikt nie wie. Chyba... niczyje.

— Niczyje? — na twarzy Berkera wyraz ironicznego, zdziwienia. — Nie spotkałem się w praktyce z podobnym wypadkiem. Ręczy pan jako lekarz?

— N—nie w tym sensie — młody lekarz uśmiecha się z zakłopotaniem. — Znaleziono go na ulicy już w stanie silnego wycieńczenia.

— Zaraz. Pan zdaje sobie sprawę z tego, co pan mówi? Nie jesteśmy instytucją charytatywną, która zajmuje się byle przybłądą. To jedna z najdroższych prywatnych klinik. Czy pan rozumie, co to znaczy?

— Myślałem...

— Nie obchodzą mnie pańskie myśli. Wystarczy, jeśli widzę, dokąd prowadzą.

— Ależ tego chłopca poleciła nam pani Montbason.

— Ach tak...

— Wszelkie koszty...

— Oczywiście, oczywiście. Dlaczego mnie pan od razu nie uprzedził?

— Nie miałem okazji dojść... — zaczął lekarz, lecz widząc kwaśny grymas na twarzy Berkera dodał szybko: — Pani Montbason prosiła również, aby siostrę Margo przydzielić do wyłącznej opieki nad tym chłopcem.

Doktor Berker z politowaniem pokiwał głową.

— Rozumiem doskonale, gdy te panie połową spadku obdarzają ulubioną kotkę, lecz żeby wyrzucać pieniądze na każdego spotkanego włóczęgę... Chyba co do tego nie dzieli nas specjalna różnica poglądów?

— Oczywiście, ale pani Montbason twierdzi, jakoby zafascynowały ją oczy tego dziecka.

— Cha-cha!... Otóż to. Zafascynowały ją oczy. Doprawdy, mogę cię, przyjacielu, zapewnić z ręką na sercu, że najdalej za tydzień ulotni się ostatni ślad tego kaprysu, a nam zostanie kłopot pozbycia się chorego z kliniki.

## *Wtorek*

Dzień minął niepostrzeżenie i już w prostokącie okna zmierzcha widoczny nad wierzchołkami topól skrawek szarego nieba. Dzień minął jak zwykle wypełniony krzątaniem szpitalnych sióstr i odgłosami sączącymi się spoza ścian. Od samego świtu trwał jakby w bezruchu, a jednak przeminął. Zostawił po sobie ledwie uchwytnie wspomnienie czyichś kroków za drzwiami wychodzącymi na korytarz, regularne pokasywanie starej kobiety, co godzinę przyjmującej leki, oraz przelotny płacz jakiegoś dziecka. Jedyne, co w pamięci pozostawiło trwalszy ślad, było twarzą kobiety długo nad nim siedzącej. Cały czas leżał z szeroko otwartymi oczyma i zapamiętał najmniejszy szczegół tej twarzy: prosty nos, policzki pokryte widzialnym tylko pod światło brzoskwiniowym puszkim, ciemne oczy i usta zrazu uśmiechnięte, potem — w miarę jak prosiła go, żeby zechciał coś zjeść — smutniejące. Pomimo tych prośb śniadanie, obiad i

kolacja pozostawały nietknięte. Ani razu nie poruszył leżącą na poduszce głową, nie zareagował na jej słowa.

— Przyniosłam ci parę książek. Nie wiem, czy umiesz czytać? Nie odpowiadał, pochłonięty swoimi myślami.

— Jeżeli zechcesz, mogę usiąść tutaj i czytać głośno... Wybierz.

Czekała, lecz on milczał.

— Zostawię je — powiedziała wreszcie zmęczonym głosem. — Położę blisko na krześle, żebyś mógł sięgnąć. Powoli zamknął oczy. Głos kobiety docierał do niego jakby spoza grubej, niechętnie przepuszczającej dźwięki ściany.

— Dlaczego milczysz? Czy to tak ciężko... polubić mnie chociaż trochę? Powiedz choć jedno słowo...

Wciąż milczał. Kobieta odeszła do drzwi ze zwieszoną głową. W progu stanęła na moment i, może mu się to wydawało zresztą, powiedziała cicho: „Dobranoc”.

Kiedy zasypiał, poczuł w piersi przelotne muśnięcie jakby żalu, że wybrać może jedną tylko drogę, lecz żal uleciał, a sen pozostał. Sen głęboki, niczym, otchłań między latarniami gwiazd.

### Środa

Siostra Margo przysłała bardzo wcześnie. Ominęła łóżka innych chorych, aby zatrzymać się w końcu sali. Topole za oknem tłumyły brzask wstającego dnia i półmrok nie ustąpił jeszcze z miejsca, gdzie na białej powłoce poduszki leżała głowa chłopca o twarzy jakby wyciętej z kredowego płótna.

Siostra Margo podwinęła opadającą kołdrę. Ostrożnie, żeby nie zbudzić śpiącego, poprawiła poduszkę.

Książki na krześle leżały tak samo, jak wczoraj je zostawiła, ale gdy przyjrzała się bliżej, dostrzegła między bajkami La Fontaine'a i Andersena, pośród barwnych okładek powieści Rudyarda Kiplinga jedną zniszczoną, z wygiętym grzbietem i zatłuszczoną tytułową stroną. Książki tej wczoraj nie było tutaj, ona jej nie przyniosła.

Niepewnie wzięła ją do ręki. Na pierwszej stronie tytuł:

„Lekarstwo od melancholii” i nie mówiące jej nic nazwisko — Ray Bradbury. Przerzuciła parę kartek. Oczy odruchowo przebiegły urywek tekstu ze środka strony:

*„...Dmący wiatr usiłował rozwiać ich w chmurę lotnego pyłu. Zdawało mu się, że jeszcze chwila i powietrze Marsa wysysie jego duszę niczym szpik z kości. Czuł się pogrążony w nieważkiej zawieszynie jakiegoś chemicznego roztworu, który rozpuszcza myśli i wypala pamięć przeszłości. W milczeniu patrzył na marsjańskie wzgórza, przysadziste, przywalone brzemieniem tysiącleci. Patrzył na stare miasto, białymi wyspami zagubione w lakach, niby kości zetłale, rozsiane w chybotliwym morzu traw...”*

— Dziwne z ciebie dziecko — szepnęła kobieta.

Chwilę stała czekając na coś, o czym wiedziała, że nie nastąpi, potem odeszła, pozostawiając książkę na uprzednim miejscu, i chłopiec mógł otworzyć oczy. Dawno już nie spał, lecz nie dał po sobie znać, że widzi krzątanicę kobiety wokół jego łóżka. Dla niego nowy dzień niczym nie różnił się od poprzedniego. Może tylko powieki chętniej przesłaniały oczy, a ręce ukryte pod kołdrą z większym trudem rozginały palce. Jedynie myślom nie szkodziło osłabienie ciała i uparcie sięgały szelestu topól za oknem i nieba w opierzeniu włóknistych obłoków. Lecz ciągle pozostawało tyle nieosiągalnej przestrzeni.

Drugie przebudzenie nastąpiło dopiero pod wieczór, jakby godziny południa żadnego nie miały znaczenia. Najpierw świadomość wchłonęła czyjeś głosy, następnie wyodrębniła z nich

słowa:

— Więc co ostatecznie dolega temu nieborakowi?

— To dziwny wypadek.

— Każdy może w ten sposób usprawiedliwić nieumiejętność wystawienia właściwej diagnozy.

— Taka jest nie tylko moja opinia.

Doktor Berker i lekarz oddziałowy stoją pod oknem.

— Osobiście nazwałbym to skrajnym wycieńczeniem, ale... Lękam się, żeby mnie pan źle nie zrozumiał, doktorze.

— Słucham. Niech pan mówi.

— Ten chłopiec jest absolutnie zdrowy.

Berker rzucił krótkie spojrzenie w stronę łóżka.

— Hm — chrząknął z powątpiewaniem. — Raczej na to nie wygląda.

— Otóż właśnie. Na pierwszy rzut oka nikt nie dałby za niego złamanego centa, a jednak po bliższych oględzinach stwierdziliśmy wręcz niezwykłą zdrowotność jego organizmu. Serce, płuca, nerki, wątroba i w ogóle wszystkie narządy wewnętrzne działają u niego znakomicie.

— Szkopuł w tym, że jakoś nie widać pozytywnych rezultatów tej działalności.

— Trafił pan w sedno sprawy, doktorze! Każdego dnia stosujemy transfuzję fizjologicznej odżywkę, gdyż pokarmu przyjmować nie chce albo nie może, a proces osłabienia postępuje z nie malejącą intensywnością. Organizm spala się sam w sobie.

— Jak? Niech pan powtórzy.

— Och, to wszystko przypuszczenia. Ciągłe poszukuję analogii...

— I nie potrafi pan znaleźć?

— Mam ich więcej niż pod dostatkiem, gorzej z akceptacją którejkolwiek.

— Mógłbym poznać chociaż jedną?

— Nie odmawiam, ale uprzedzam, że sam jej zbyt serio nie biorę.

— Przezornie ubezpiecza się pan na wypadek odwrotu.

— Nie popuści pan żadnemu słowu, doktorze, No cóż, trudno, a więc moje analogie... Weźmy chociaż to: istnieją mechanizmy nigdy pobieranej mocy nie angażujące we własne potrzeby, w konserwację i odnowienie siebie samych.

Po prostu większość mechanizmów wykorzystywanych przez człowieka jest tylko pośrednim ogniwem w dążącym do określonego celu ciągu przeistaczania różnego rodzaju energii. Korzyść z ich działania wyciąga tylko człowiek. Na przykład w nadajniku radiowym energia elektryczna drgań wysokiej częstotliwości, doprowadzona do anteny nadawczej, zostaje wypromieniowana w przestrzeń pod postacią fal radiowych. Jednak dla naszej anteny czy dla lasera emitującego wiązkę promieniowania podobna emisja nie ma żadnego sensu, gdyż im bezpośrednio nie przynosi pożytku i tylko jeszcze niszczy jej kosztem. Lecz nie można przez to rozumieć, że ich działalność jest zupełną abstrakcją, trzeba tu uwzględnić czynnik dodatkowy — człowieka.

— Chyba zaczynam rozumieć — Berker uśmiechnął się kącikami warg. — Więc jego organizm działa doskonale, a przyczyna szybkiego osłabienia leży w takim rodzaju przetwarzania energii, który nie uczestniczy w procesie podtrzymującym egzystencję samego organizmu? Tak... ale, niestety, celem samym w sobie biologicznej konstrukcji jest zapewnienie ciągłości własnego istnienia i ciągłości gatunku, zabezpieczenie możliwości przetrwania w niesprzyjających warunkach, i to kosztem najmniejszych wyrzeczeń. Między innymi dlatego Natura obdarzyła organizmy żywe zdolnością częściowej regeneracji tkanek. Żywy organizm nigdy nie będzie marnował energii bezużytecznie. Czy potrafi pan wskazać cel, na rzecz którego może poświęcić się organizm człowieka, nie bacząc na własne wyniszczenie?

— Organizm człowieka to jeszcze nie człowiek. Poprzez stworzone przez siebie mechanizmy moduluje fale radiowe rozum człowieka i dzięki rozumowi człowiek zna tego sens.

— Ależ mechanizm stacji nadawczej, w przeciwieństwie do organizmu żywego, jest tylko ogniwem pośrednim, które może ulec zniszczeniu po wykonaniu zadania, i w niczym to nie wpłynie na efekty wykonanej pracy. Rozum umiera czasami prędzej niż ciało. Trzeba zauważać różnicę.

Młody lekarz uważnie spojrzął na Berkera. Przemilczał.

— I naprawdę niczego więcej nie może pan dodać? — zapytał Berker.

— Aby cokolwiek udowodnić, musiałbym rozporządzać tym, czego pan wymaga: zestawem empirycznych danych. Tymczasem takich brak.

— Jak to możliwe?

— Po prostu istnieje zazwyczaj limit tolerancji organizmu, przy którym trudno rozpoznać głębsze schorzenia z symptomów powierzchniowych, gdyż takie nie istnieją. Natomiast tutaj mamy diametralne przestawienie kolei rzeczy. Objawy komplikacji są rozpoznawalne nawet przez nie wtajemniczonego w niuanse medycyny, lecz najskrupulatniejsze badania, z wykorzystaniem całego arsenału nowoczesnej techniki, nie potrafią wykazać bezpośredniej przyczyny tego stanu. Tytułem próby modelowaliśmy wszystkie fizjologiczne reakcje jego organizmu w elektronicznym układzie, lecz komputer niezmiennie żądał dopełniających danych, sugerując istnienie nie uwzględnionego przez nas czynnika. Poza tym nic, absolutnie nic.

Berker kiwnął głową.

— Wierzę, ale niech pan jedno zapamięta — powiedział w zamyśleniu. — Nie znoszę pseudofilozoficznych spekulacji, na które zresztą nie powinno być miejsca w pracy lekarza... Zapewne czytuje pan fantastykę?

— Czasami.

— Więc proszę się do czytania ograniczyć. Absolutnie raić, jak to pan raczył nazwać, można znaleźć tylko w science fiction. A to nie licuje z dobrą renomą naszej kliniki. Odwrócił się na pięcie z wyraźnym zamiarem opuszczenia pokoju. W drzwiach zatrzymał się jednak i zapytał jeszcze:

— Nie sądzi pan, że ta choroba może mieć psychiczne podłoże? Młody lekarz niepewnie wzruszył ramionami.

— Myślałem nad tym.

— I...?

— Zastanawia mnie to jego uporczywe milczenie. Jestem w zupełności pewien, że on cały czas zachowuje świadomość tego, co się wokół dzieje.

— Mimo to ciągle milczy?

— Milczy.

— Ciekawe...

Doktor Berker i lekarz oddziałowy opuścili pokój. Pamięć ich słów rozproszyła się wśród innych dźwięków, bardziej zmieszanych, mniej absorbujących uwagę.

Chłopiec znowu spał.

### *Czwartek*

— Gdzież moja perełka? Och, doktorze, tak chcę go zobaczyć! Jak się czuje? Zadyszałam się na tych schodach... Och, głosu wydobyć nie mogę. Minęła gorączka? Moja mama zawsze radziła rumianek albo kwiat lipowy... Nie ma nic lepszego nad łyżeczkę miodu z filiżanką gorącego mleka! Tak, tak, doktorze, wiem doskonale, że zrobił pan wszystko i mojemu milusińskiemu

poweselały te smutne oczęta. Oj, nieborak, jakże się to ucieszy. Taka niespodzianka! Prosto z lotniska. O, monsieur, trzeba zobaczyć na własne oczy, aby uwierzyć! Paryż, Paryż — boskie miasto, miasto *par excellence*\* wspaniałe. *Si jeunesse savait, si vieillesse pouvait*\*... Cha-cha-cha! Pan mówi po francusku? Nie?! Jaka szkoda, jaka niepowetowana strata...

Potok słów przenosi się korytarzem:

— Te drzwi? Dlaczego nie osobny pokój? Pod samym oknem? Broń Boże, przeciąg...

Pani Montbason rozsiewa jaśminowy zapach perfum. Delikatna warstewka rózu na starannie zasuszonych policzkach promieniuje radością zaawansowanego w latach kwiatu życia.

— Jestem!

Pani Montbason wyciąga ręce w koronkowych rękawiczkach.

— Poznajesz mnie? Doktorze, ach, otworzył oczy! Przywiedły wdzięk łabędziej piersi faluje w głęboko wcięty dekolcie sukni, wzbiera macierzyńskim wzruszeniem.

— Zmizerniałeś, nieboże, a taki śliczny był z ciebie chłopczyk.

Cieszysz się, że przyszłam? No, powiedz, na pewno się nie spodziewałeś. Ale czekałeś, prawda? Dobrze ci tutaj było? Wiem, wiem... Brakowało d kogoś, ale już jestem i będę przychodzić codziennie.

Chłopiec patrzy w milczeniu. Może w twarz pani Montbason, może gdzieś obok.

— Przynieść ci coś? Powiedz, jakie uwielbiasz przysmaki...

— On już czwarty dzień nic nie je — ośmiela się wtrącić doktor Berker.

— *Mon Dieu!*\* A to dlaczego?

Milczenie. Pani Montbason patrzy na chłopca.

— Czemu on nic nie mówi? — pyta szeptem, oglądając się na doktora. — Czy aż tak chory?

— On po prostu nie odzywa się do nikogo. Nigdy.

— Do mnie też?...

Pani Montbason znowu pochyla się nad leżącym.

— Mój głuptasku, pan doktor wcale nie jest zły... I siostra Margo pewnie też się tobą opiekowała. Skończ dąsy i powiedz im, że mnie lubisz. Oni nie mają racji, że nie chcesz z nikim rozmawiać. Byłeś tylko smutny, bo na mnie czekałeś... Ale nie mogłam prędzej przyjść do ciebie. Chłopiec zamknął ciężkie powieki.

— Och, nie bądź uparty... Bo się na ciebie pogniewam! Dlaczego jesteś niegrzeczny? Odezwij się wreszcie! Pani Montbason potrząsa chłopca za ramię.

— Proszę go zostawić! Siostra Margo odpycha jej rękę.

— O-och!

Oczy pani Montbason robią się okrągłe-okrągłutkie, z sinawą kropelką źrenicy pośrodku białej, na wpół odsłoniętej kulki.

— Jak... Jak pani śmie?

— Zostawcie go wszyscy w spokoju! — siostra Margo staje między nimi i łóżkiem. — Idźcie stąd. Doktor Berker energicznie ujmuję ją za łokieć.

— Siostrze, niech pani natychmiast opuści ten pokój. Bardzo proszę...

— Nie.

— Proszę pomyśleć o konsekwencjach — doktor Berker z zażenowanym uśmiechem zwraca się w przeciwną stronę. — Błagam o wybaczenie, siostra Margo jest przeciążona pracą. Pan; Montbason wreszcie odzyskuje dar mowy.

---

\* Par excellence (fran.) — w całym tego słowa znaczeniu.

\* Si jeunesse... (franc.) — Gdyby młodość wiedziała, gdyby starość mogła...

\* Mon Dieu (franc.) — Mój Boże!

— Niech ona się stąd wynosi! I proszę o przydział innej opiekunki.

— Ależ tak, oczywiście. Siostra Margo nie pojawi się więcej w tym pokoju. — Berker popycha pielęgniarkę do drzwi. — Proszę wyjść.

— Nie ruszę się stąd! Nie ruszę się, dopóki nie zostawicie go w spokoju!

— Jeżeli takie panują tutaj porządki, to ja wyjdę. — Jeszcze trochę i oczy pani Montbason zaczną miotać błyskawice. — I więcej tu moja noga nie postanie! Doktor Berker próbuje przebiec jej drogę.

— Ależ, droga pani, to drobne nieporozumienie nie powinno...

— Niech pan milczy, doktorze! Niech pan nic więcej nie dodaje do bezczelności tej zadziornej kotki i niewdzięczności bezdomnego szczenięcia. *Cela me depasse*\*! Za tyle starań... Doktorze, ani centa więcej, ani centa.

Potok słów odpływa jak woda ulewy, która zmyła chodniki i teraz niecierpliwie poszukuje otworu kanalizacyjnej studzienki. Siostra Margo siedzi na skraju łóżka z bezradnie opuszczonymi rękami. Jej oczy patrzą na drzwi, które wybiegający zostawili na oścież otwarte. Z wysiłkiem obraca głowę prześlizgując się spojrzeniem po rzędzie emaliowanych łóżek. Z każdego patrzą na nią trochę uważne, trochę współczujące oczy chorych. Bezwiednie sięga po książkę ciągle leżącą na krześle i napotykając wyczekujące spojrzenie czarnych oczu chłopca, zaczyna czytać bez wyboru miejsca, byleby słowa zagłuszyły niepokój:

„...— *Do góry głowa, Harry. Już nie ma odwrotu. Przelecieliśmy ponad sześćdziesiąt milionów mil.*

*Złotowłose dzieci krzyknęły głośno, jakby rzucając wyzwanie marsjańskiemu niebu, lecz nie doczekały się odpowiedzi i tylko wiatr naświstywał w sztywnej trawie...*”

Drzwi trzasnęły głośno.

— Siostrzo! Pani zachowanie jest karygodne... Jeżeli chciała pani oddać przysługę temu chłopcu, to proszę przyjąć do wiadomości, że z tą chwilą zostaje skreślony z rejestru pacjentów. Pani daję tydzień czasu na znalezienie innej pracy, i to tylko mając na względzie nienaganną, aż do tego momentu, postawę.

— Pan nie może tego zrobić!

— Dla mnie liczą się pieniądze — Berker zaciska sine usta. — Rozumie pani? Pieniądze, pieniądze i jeszcze raz... Pani Montbason anulowała nasze konto bankowe. Trzeba go przewieźć do jakiegoś szpitala.

— Ależ nie można go ruszać z łóżka!

— Kolega Egert wezwał ambulans, zaraz przyniosą nosze. Łóżko ma być na nowo zaścielone. W korytarzu czeka następny pacjent.

— Doktorze, ja bardzo proszę, niech go pan zostawi tutaj. Opłacę dalsze leczenie.

— Co? Mam to traktować naprawdę serio? Będzie to panią kosztowało masę pieniędzy!.

— Wiem o tym.

— Kuracja tego dziecka wymaga zastosowania elektronicznej diagnostyki, nie obędzie się bez psychoterapeutycznych zabiegów...

— Czy gdzieś jeszcze można mu zapewnić to wszystko?

— Jesteśmy specjalną kliniką.

— To mi wystarczy, doktorze. Poza tym jestem samotna. Doktor Berker spojrział na nią zdziwiony.

— A pani narzeczony? — zapytał. — Przecież mija trzeci rok i oni niedługo wracają. Alan Cruff i ten drugi, jak mu... Zdaje się Gascar.

---

\* *Cela me depasse* (franc.) — To mnie zdumiewa!

Siostra Margo patrzy w okno niewidzącymi oczyma.

— Pan wie, doktorze, że nie będziemy mogli mieć dzieci. Pan leczył Alana, wtedy... po eksplozji reaktora na kosmodromie. Zezwolono mu na ten ostatni lot, ale pan wie, co znaczy twarde promieniowanie.

— Tak, wiem — Berker niepewnie skinął głową.

— A ja chcę, żeby... gdy wróci stamtąd, czekał na niego syn.

— Oczywiście — Berker zmieszał się. — Tak... Każdy ma prawo. Oczywiście.

Chwilę potakiwał jeszcze, potem wycofał się do drzwi.

— Poszaleli, poszaleli wszyscy — mruknął do siebie. — Byle przybędę...

Kiedy stanął w korytarzu, usłyszał jeszcze głos czytającej coś kobiety:

*„...Domem wstrząsnął gwałtowny poryw wiatru. Kiedy ucichł brzęk okiennych szyb, Betering z wysiłkiem przemógł skurcz gardła i jednym spojrzeniem ogarnął dzieci.*

*— Nie wiem — odezwał się Dawid. — Może dokoła wszędzie są Marsjanie i tylko my ich nie dostrzegamy? Niekiedy nocą zdaje mi się, że ich słyszę. Wiatr słyszę. Piasek szeleści na szybach. Czasami boję się. Przecież w górach są jeszcze ocalałe miasta, gdzie oni kiedyś mieszkali. I wiesz, tato, w tych górach jakby się coś zataiło, błąkało jeszcze. Może Marsjanom nie podoba się, że przylecieliśmy tutaj? Może pragną zemsty?*

*— Bzdura! — Betering spojrział w okno. — Przecież nikomu nil zrobiliśmy nic złego... Jesteśmy spokojnymi ludźmi”.*

*Piątek*

Noc. Wszyscy śpią. Wierzchołki topól kołyszą pasmami wodorostów podniesionych nad dnem granatowej głębi nieba, uwikłanych w rojowisko rybich oczu — gwiazd. Okno otwarte szeroko. Chłodny wiatr zdaje się na wylot przewiercać ciało, pod otoczką skóry nie zostawiając nic prócz przejmującego zimna.

— Dlaczego wstałeś? Po co otworzyłeś okno?! Siostra Margo staje w drzwiach.

— Co się stało?!

Chłopiec nie odwraca się od okna. Stoi bosy, w koszuli sięgającej kostek. Podmuchi wiatru wdiera się przez okno, przeslizguje wzdłuż sali i dopada drzwi. Przeciąg szarpie koszulę, rozwiewa kosmyki czarnych włosów.

— Boże, co z tobą jest?!

Siostra Margo przebiega między łózkami i chwytając chłopca za ramiona. Jedną ręką przyciskając go do siebie — drugą usiłuje zatrzaskać okienne ramy, lecz wiatr wdusza je do środka, napiera wciąż mocniej.

— Zazębisz się na śmierć. Kto pozwolił d wstać? Jak mogłeś to zrobić... Jest noc, musisz spać. Sen wraca siły... Chłopiec patrzy gdzieś daleko poprzez szpaler drzew, gdzie w prześwicie gałęzi płonie czerwona iskra, jakby na przekór innym gwiazdom nie zmieniająca blasku, nie migająca. Chwilę stoi nieruchomy i tylko wargi mu drżą.

— Zobacz... Mars — szepcze.

Potem jego głowa osuwa się w dół i ciężar dała przechodzi w nagle zdrętwiałe ręce szpitalnej siostry.

— Doktorze! Doktorze!

Krzyk napelnia pokój, wypada przez drzwi, zdyszany echem odbija się od ścian korytarzy, szamoce, rozdwaja i przepada w ciszy.

Wszyscy śpią.



## *Sobota*

Białe sufit i ściany, śnieżna pościel na łóżkach i ubrania lekarzy.

Białe sufit i ściany, śnieżna pościel na łóżkach i ubrania lekarzy...

Białe sufit i ściany... Tik-tak, tik-tak, czas upływa — przemija czas...

Wzdłuż szeregu emaliowanych łóżek przesuwają się korowód ludzi w bieli. Pochylają się nad każdym z chorych, coś szepczą między sobą. Doktor Berker jest po ojcowsku dobroduszny, to znów rzeczowy lub współczujący. Jego głęboko myślące oczy napawają chorych otuchą, budzą nowe nadzieje. — O, widzę nową twarz...

Berker uśmiecha się zatrzymując przed kolejnym łóżkiem w końcu sali. Wpadające przez okno promienie jesiennego słońca podnoszą zapach aseptycznych środków nad śnieżną pościelą.

## *Niedziela*

Pierwsze liście opadłe z topól leżą na żwirze alejki wdeptane w piasek butami ludzi, którzy już stąd odeszli. Kobieta stoi oparta o pień koślawego, u samych korzeni przegiętego na bok drzewa. Stoi z zamkniętymi oczyma, jakby występujący ze zmierzchem blask księżyca twardej pościelą zamienił ją w jedną z marmurowych postaci. Kamiennych do samego wnętrza. Lecz opadający liść muska jej twarz, wyrывa z odrętwienia. Żwir popiskuje cicho pod obcasami butów, gdy odchodzi szybkim krokiem. Wysoka, kamienna brama i obok żelazna furtka w murze. Skrzyp zawiasów. Nie ogląda się. Idzie młoda i smukła, o pięknej, trochę smutnej twarzy. Z przodu warkot samochodowych silników i odór spalin. Po bruku snują się cienie. Ktoś kaszle, ktoś się śmieje. W bramach domów ogniki papierosów — oczy suną jej śladem. Czyjeś kroki na przedzie, czyjeś kroki za tobą. Domy chylą szklane piętra murów, rozwierają stęchłe przesmyki, znowu przyjmując ją w posiadanie. I nie potrafi jej pomóc czerwona iskra między zrębami dachów.

Zawieja za wypukłą szybą buszuje z niesłabnącym uporem. Siedzimy obok siebie, jakby wzajemne zbliżenie mogło przewyciężyć chłód ścian. Siedzimy nasłuchując szelestu piasku nieustępliwie trącego o ściany. Czasami wiatr uderza silniej i kabinę przebiega drżenie, jakby metalowy skorupiak otrząsał się z krzemowych ziaren.

Wydmę kojarzą się zwykle z gorącym, ze słońcem palącym plecy i powietrzem zachłannie wysysającym każdą kroplę potu. Tak jest na Ziemi, gdzie bliżej Słońca. Tutaj łachy burego piachu są jak zasypany śniegu. Nie białe, o nie, lecz dźwigające na sobie stygmat mrozu i przez to tylko podobne, bo nie ma w nich ani śladu wilgoci.

Wiatr cichnie nagle. Jeszcze po szybie sączą się strużki suchego piasku, lecz wiemy, że to już koniec. Tak bywa zawsze — piekło piaskowej burzy i nagły bezruch. Tylko jednocześnie z zewnątrz cisza w nas samych budzi się niepokój, nie określona trwoga, jakby czyjeś oczy śledziły nas przez szybę, zaglądały do wnętrza rakiety.

— Trzeba wyjść — odzywa się Gascar.

Wiem. Kiedy milknie wiatr, nadchodzi czas codziennego obchodu elektronicznych czujników. Jak wczoraj, jak tydzień temu — od wielu dni.

Można nienawidzić pustyni martwej od początku świata, można się męczyć nocami pamięcią zostawionych gdzieś daleko zieleń i błękitu, lecz to nie zmieni faktu, że trzeba dokonać przeglądu pomiarowej aparatury. Obserwacje kosmicznego promieniowania, wahania temperatury powietrza i gruntu, drgania sejsmiczne, spektroskopowe widma chemicznego składu gleby uzyskiwane w próżniowych komorach z próbek parujących pod wpływem laserowego

promienia...

— Trzeba wyjść...

Gascar podnosi się i dopina skafander. Pomagam mu zaczepić na plecach butle z tlenem, potem sam nakładam hełm ze szklaną przyłbicą. Kłapa śluzy odskakuje wypchnięta ciśnieniem powietrza. Jak okiem sięgnąć — wszędzie piach i jedynie za naszymi plecami sterczy w niebo kikut skały, z osiadłym u jej podnóża członem kosmicznego statku. Dalej, po sam horyzont, ciemniej obnażone przez pustynię ospowate narosła kraterów. Takie jest prawdziwe oblicze utraconych złudzeń, marzeń całych pokoleń o błękitnych łąkach, o kanałach prowadzących wodę aż hen, spod polarnych czap śniegu, o miastach nad ich brzegami...

— Alan, tam... — głos Gascara dudni głucho w nausznicach. — Obok skał. Zdawało mi się, że ktoś...

— Przecież jesteśmy pierwszymi ludźmi.

Milknę. Za szybą jego hełmu widzę błysk wystraszonych oczu.

— Co z tobą?

— Zobacz tutaj, gdzie stoimy...

Obok spuszczonego trapu ciemniej płytkie wgłębienie. Pochylam się.

— Nonsens.

— Dalej... jeszcze — w słuchawkach świst ciężkiego oddechu.

— Ależ nie, stój!

Czuję w gardle coś lepkiego, pulsującego. Serce tłucze się w piersi.

Ten ślad na piasku nie mógł pojawić się tutaj. Nie mógł!

— Nie — chcę krzyknąć, ale powietrza w płucach starcza ledwie na szept. — To przypadek, piasek osypał się, mógł akurat tak. Patrzymy na siebie. Wreszcie Gascar kuli się z jękiem i skacze przed siebie depcząc i rozrzucając piasek. Pomagam mu ciężkimi obcasami butów wbić w ziemię, wdławić w nią na powrót odcisnięty w piachu ślad bosych, jakby dziecięcych stóp. Siad bosych stóp na wiecznie martwym piasku Marsa.

— Dosyc — z wysiłkiem stęka Gascar. — Dosyc, idziemy stąd. Piasek jest zryty i zmieszany. Jedyne rozpoznawalny w nim ślad zostawiły podkute obcasy. Teoria prawdopodobieństwa dopuszcza możliwość, że ruch piaskowych ziaren znajdzie wypadkową takiego ustawienia, w którym oczy ludzi dopatrzą się znajomego kształtu. Jak kinetyczne ruchy materii odzwierciedlane przemieszczaniem się koloidalnych cząstek... Lecz każdy z nas pamięta miłość bliskich, którzy oczekują jego powrotu, i musi bronić się przed szyderstwem martwego żywiołu.

— Alan... — mówi Gascar.

Nie patrzę mu w oczy, aby nie znaleźć w nich własnego obłędu.

— Słyszałeś? — nie ustępuje.

— Nie. Nic nie słyszałem. Nic! — trzeba powtórzyć szybko. — Nic, nic, nic!...

— Ależ tam był głos! Słyszałem powtarzający kobiece imię głos!

— Nie. Nic nie słyszałem. Nie ma takiego imienia... To tylko wiatr, to znowu ten przeklęty wiatr... Brniemy dalej. Musimy poznać mineralogiczną strukturę gruntu, spisać dane z elektronicznych detektorów kosmicznego promieniowania, wyjąć z kaset taśmy zapisu sejsmografów. Musimy wyjawic składowe chemicznych związków, jakie powstawały przez miliardy lat starzenia się tego globu. One kryją tajemnice Marsa. Tylko one.